MURZYNEK

Styczeń 1937

Rok XXV Nr. 1



Boga nam dajcie!

„MURZYNEK"
katolickie, ilustrowane pisemko misyjne dla dzieci i młodzieży, wydaje w różnych językach.

SODALICJA Św. PIOTRA KLAWERA

Krosno, **woj. lwowskie.**

Prenumerata roczna 1.20 zł.

....

Prenumeraty i ofiary

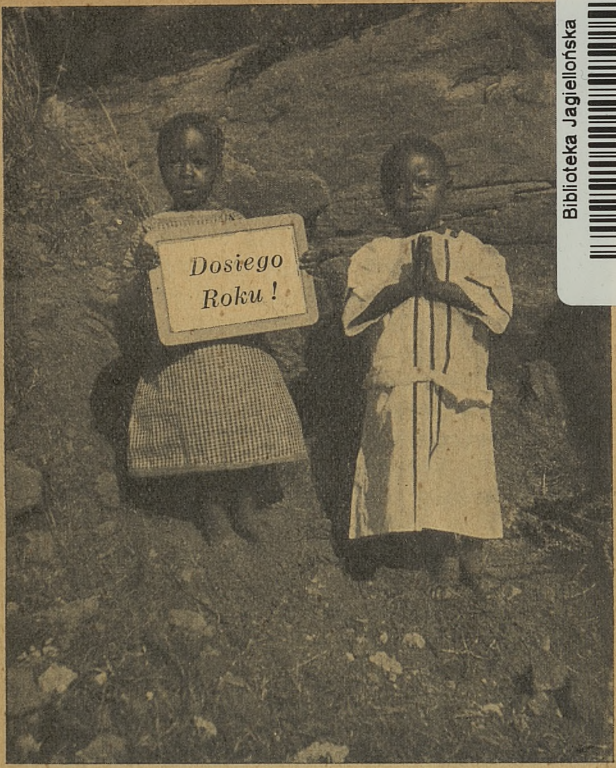
przesyłać można pod następującymi adresami:

Warszawa I, Sodalicja Klaweriańska, ul. Warecka 10, m. 4. — *Kraków*, ul. św. Marka 25. — *Poznań*, ul. św. Józefa 9, m. 5. — *Krosno* (woj. Lw.) — *Wilno*, ul. Wielka 58, obok kościoła św. Kazimierza. — *Lwów*, p. K. Froniówna, ul. Edwarda Jelinka 11a. — *Częstochowa*, al. Najśw. Maryi Panny 79. — *Gniezno*, p. Anna Potulna, ul. Mieczysława 1. — — *Kielce*, p. M. Kasperska, ul. Śniadeckich 1, m. 8. *Bielsko*, ul. Piłsudskiego 7. — *Ostrów* Pozn., p. Roman Spychałowicz, ul. Starokaliska 9. — *Łowicz*, pan Marian Tarczyński, ul. Kościuszki 17. — *Wrocław*, Hirschstrasse 33.

Numer konta P. K. O.: Warszawa 1.188 — Kraków 142.248 — Poznań 200.015 — Wilno 80.954 — Krosno 411.222.

Ofiary nadesłane (w zł.)

Sekcja Misyjna Krucjaty dzieci w Rakowicach na misje 1.-. — Soińska na dzieci murz. 2.-. — Ze skarbonki p. dr. Brossowej 4.13.



PIOTRUŚ

Z życia angielskiego chłopca.

Chłopcy zabierali się do spoczynku . . . Już wszystkie zabiegi, składające się na codzienną toaletę wieczorną, odbyły się szczęśliwie pod okiem skrupulatnej Marianny — malcy poklękli do pacierza. Marianna czeka cierpliwie, aż się skończy długa lista różnych intencji i próśb.

XII 36 - 12.3

Sama przeszłego roku przedłużyła jeszcze niechcący tę litanję... Gdy mianowicie dzieci zaczęły wymieniać po kolei wszystkie drogie sercu ich osoby, które codziennie polecały Panu Bogu, a jej imienia nie wymieniły, zapytała: „A co z Marianną?” Od tego czasu czteroletni Piotruś co wieczór mówił: „Proszę, Boże, o błogosławieństwo dla mamusi, dla tatusia — dla wszystkich — a co z Marianną?...” Taki już był ten Piotruś.

Gdy wreszcie dzieci zakończyły pacierz codzienną prośbą „Proszę Bozi, abym wyrósł na dzielnego chłopca i dobrego księdza”, Piotr wbrew swemu zwyczajowi klęczał jeszcze chwilkę milcząc, a potem dodał: „Ale proszę Bozi, żebym wyrósł na lepszego księdza niż Mostyn.” Ten dodatek był znowu zupełnie w guście małego łobuza . . .

* * *

Kto to właściwie był ten Piotruś — spytacie. Trzeba wam wiedzieć, że Piotruś to młodszy synek angielskiej rodziny, noszącej nazwisko Gibbs. Światło dzienne ujrzał nasz bohater 12 czerwca 1923 r., a w tydzień potem otrzymał chrzest św.. Był tak niezwykle piękny, że niania na jego widok zawołała: „Boże, co za śliczne bobo! To dziecko za piękne jest na ten świat. Bóg go nam pewnie pozazdrości i zabierze je sobie do nieba.”

Złociste kędziorki i duże niebieskie oczy już od zarania życia jednały malcowi serca ludzi. Z biegiem lat zyskiwał coraz większe względy, bo któż mógł oprzeć się zniewalającej wesołości Piotrusia? Zawsze żwawy i skłonny do figlów był przy tym tak czuły i delikatny, że lgnęli do niego i młodzi, i starzy.

Bardzo wcześnie zaczęły Piotrusia intereso-

wać dzieje jego rodziny. Matka musiała mu wciąż na nowo opowiadać o tych „którzy wiszą w salonie, w złotych ramach”, a gdy usłyszał, że wśród przodków jego byli Brytańczycy, Irlandczycy, Włosi, schwycił się zabawnie za głowę i rzekł z tragicznym przerażeniem: „Co za okropna gmatwanina!”

Piotruś był typowym angielskim chłopcem, miał jednak niektóre rysy po swym irlandzkim dziadku. Był duży i silny, zdrowie i wesołość aż tryskały z niego, w przeciwieństwie do brata Mostyna, który był delikatny i słabowity.

Dlatego też Piotruś lubił opiekować się starszym o trzy lata od siebie Mostynem. Często wracał rozpromieniony, opowiadając, że Karola i Roberta „porządnie wygrzmocił”. Rodzice wiedzieli wtedy, że to chodziło o obronę Mostyna przed kolegami. Nieraz i własne sprawy załatwiał Piotr w ten sposób, ale najczęściej zwierzał się matce: „Mamusia wie, Mostyn jest za słaby, aby innych poskromić.”

Oto na przykład takie zdarzenie. Mostyn dostał na urodziny rower. Gdy go pierwszy raz chciał wypróbować na ulicy, Piotruś przypatrywał się temu z okna. Nagle jak wicher porwał się i zbiegł na dół po schodach. Z ulicy dochodziły głośne krzyki i rzewny płacz. Cały dom wyległ, by zobaczyć, co się dzieje. Po chwili zjawił się Piotruś, prowadząc jedną ręką rower, co było dla chłopca niemałym wysiłkiem, a drugą wiódł zapłakanego braciszka. Widocznie psotni chłopacy z ulicy odebrali słabemu Mostynowi rower i chcieli go dosiąść. Ale Piotr w porę zjawił się na pomoc, odbił im rower i przepędził urwisów.

Piotruś był wielkim — jak to mówią — go-

rączką, ale bardzo szybko po wybuchu opanowywał się i łagodniał. Prawił potem sam sobie morały : „Ej ! Pietrek, kiedy ty się ustatkujesz ? Starasz się i starasz, a jednak nie potrafisz być porządnym chłopcem.” Rozciągał przy tym ramiona, machał nimi niby skrzydłami i dogadywał: „Musisz to odpokutować: Trzy Ojcze nasz i trzy Zdrowaś — i na czworakach obejść całe miasto za karę...” Ale za chwilę już go nie było — już szukał innych przygód.

A przecież był tak niesłychanie delikatny i rycerski, gdy bawił się z dziewczynkami lub z młodszymi od siebie chłopcami, że to wszyskich uderzało. W tym okazywała się cała szlachetność jego charakteru. Obok tej rycerskości posiadał Piotruś jeszcze jednę wielką zaletę: lubił dawać. Zaledwie nauczył się chodzić, największą dla niego radością było towarzyszyć matce do jej biednych lub do przytułku dla sierot. A gdy miał lat dziewięć, sam już co tydzień odwiedzał wszystkich swoich ubogich przyjaciół, udając się zawsze przedtem do matki z błagalnem pytaniem : „Mamusiu, czy matuś naprawdę n i c już nie ma dla moich biednych ?” Ale nie tylko od innych starał się wydobyć jałmużnę, sam swoje kieszonkowe również jak najchętniej rozdawał potrzebującym.

Wszystkie jednak takie jałmużny nie wystarczały szlachetnemu chłopcu — on czuł potrzebę oddania siebie samego w ofierze i dlatego jego jedyną ambicją, jego ideałem i celem wszystkich jego snów i marzeń była... Afryka.

Już raz, jeszcze jako bardzo mały chłopiec, oświadczył Piotruś z całą powagą, że gdy urośnie, pójdzie do czarnych dzieci i będzie im

opowiadał o Bozi. Zamiar ten dojrzewał z nim razem. Gdy go kiedyś jako ośmioletniego już chłopca zapytano, dlaczego wybiera się do Afryki, a nie do Indji, Chin albo innego kraju misyjnego, odparł: „Tego to ja właściwie sam nie umiem powiedzieć, ale kiedyś, gdy tak myślałem nad tym, co zrobię, gdy zostanę księdzem, usłyszałem głos jakiś wewnątrz: „Dlaczego nie chcesz pracować w Afryce? Afryka jest dość duża i nieszczęśliwa, nawet dla najobszerniejszego serca." Tego samego dnia na lekcji katechizmu dał mi ks. Katecheta kalendarz św. Piotra Klawera. To na mnie tak podziałało, że zaraz powiedziałem sobie, że o ile Pan Bóg chce mnie mieć dla Siebie, zostanę Ojcem Białym. Miałem zawsze upodobanie do Afryki, ale ten dzień właśnie rozstrzygnął o całym moim przyszłym życiu."

Ciąg dalszy nastąpi.

Moi malcy w Kisubi

Siostra *Maria Germana,* misjonarka ze Zgromadzenia Sióstr Białych.

Czym mogę lepiej okazać swą wdzięczność naszym zacnym dobroczyńcom jak nie modlitwą w ich intencji i tym, że opowiem im o moich drogich malcach, będących moją radością, pociechą — a często i moją udręką?....

Na bliższym przysposobieniu do I Komunii św., które trwa osiem miesięcy, mam ich obecnie 123, w tym 76 dziewczynek. Wśród tej gromady jest i 29 pogańskich dzieci, które niezadługo otrzymają chrzest św.. Bardzo dzikie w początkach, przemieniają się zwolna; codzienne uczestnictwo w mszy św., po której jest zawsze nauka

O. Superiora, przetwarza je w niedługim czasie w gorliwych katechumenów, przykładających się pilnie zarówno do nauki katechizmu, jak i do nauki czytania. Po kilku miesiącach zahukane murzyniątka, które nie znały ani jednej literki, gdy do nas przyszły, stają się ogładzonymi



Moi malcy w Kisubi (Uganda).

chłopcami i milutkimi dzieweczkami, co chlubią się tym, że każdemu, kto tylko zechce słuchać, potrafią przeczytać całą stronicę Ewangelii.

Ale ten mój kochany, tak pilnie studiujący światek nie jest bogaty. Środki są skąpe, a apetyty ogromne... Dlatego trzeba od czasu do czasu powiedzieć książkom „do widzenia” i zabrać się do innej pracy, aby zarobić coś na utrzymanie!...

Wyjątki uprzywilejowane — jest ich bardzo niewiele — które posiadają jaką taką sukienczynę czy przyzwoitszą opaskę, powierzają ją na ten czas nauczycielce, a zawdziewają pierwszą lepszą szarą szmatkę, większość zaś nie dba wcale o to, że trochę więcej zabrudzi swoje stare strzępy. Dziewczęta biorą się z radością do oporządzania plantacji bananowych, a chłopcy dźwigają ziemię i kamienie, naprawiają drogi, zbierają drzewo na opał. W ten sposób udaje im się zdobyć spodeńki lub koszulę. Tą drogą też dochodzi czasem Siostra do tego, że może kupić trochę soli i tłuszczu lub elementarzy do nauki... Szczytem marzeń jest nabycie *tanka*, t. j. dużego naczynia na wodę potrzebną do picia, do kuchni i — do mycia.

A ta woda znajduje się tak daleko! O cały kwadrans drogi od misji. Ciężki dzban łatwo spada z głowy. A co za bieda z naczyniami glinianymi! Ileż to widziałam murzyniątek, płaczących nad szczątkami rozbitego dzbana! Tanki (stągwie) mają w pensjonacie i w szpitalu. Gdy moi malcy przechodzą tamtędy, idąc jak zawsze gęsiego, rzucają w ich stronę pełne zazdrości spojrzenia.

Pewnego razu wyruszyłam niby wódz na czele mego regimentu, aby oporządzić zagon kwiatów w pobliżu kościoła. Murzyniątka moje zaopatrzyły się w popiół, aby wytępić owady, które bez miłosierdzia podgryzają i niszczą najpiękniejsze kwiaty. Wszyscy razem zaczęliśmy kopać, gracować... Wtem odezwał się dzwonek. Trzeba było skończyć. Śpieszymy do klasy, zaczyna się czytanie. Nagle spostrzegłam, że zgubiłam mój pierścionek — pierścionek profesji. Zbladłam! Dzieci — (czego dzieci nie zauważą,)

wyczytały z mojej twarzy przygnębienie . . . „Mamo, co ci się stało?” W kilka minut potem już 200 drobnych rączek rozgrzebywało gorączkowo cały zagon. Minęła godzina i nic... Wchodzą do kościoła, modlą się. Dzwonek odwołuje mnie na pacierze. Każę dzieciom iść przygotować się do obiadu. Ale moi malcy odmawiają mi tym razem posłuchu. „Mamo, nie pójdziemy jeść, póki nie odnajdziemy twego pierścionka...” Dziesięć minut trwają dalsze poszukiwania . . . Nagle Piotruś dojrzał zgubę — wśród korzeni białej lilii. Wszyscy zaczęli mu winszować tego odkrycia z wielką radością i wrzaskiem...

Ale są bardzo zaambarasowani — bo kto z malców śmiałby dotknąć się pierścionka zakonnicy? Joanna pędzi co tchu do misji, ale wraca zaraz, mówiąc, że „Mamy modlą się w kaplicy.” Wtem rezolutny Emanuel wpada na pomysł. Zrywa duży liść i zsuwa na niego pierścionek, nie dotknąwszy go wcale! Potem idą wszyscy hurmem pod dom Sióstr, ale bardzo po cichu, bo Siostry się modlą. Wychodząc z kaplicy, dostrzegam to całe czarne bractwo. W pośrodku klęczy mały Piotruś, trzymając na dużym liściu pierścionek — mój pierścionek profeski!

Oto macie naszkicowany naprędce regiment moich kochanych malców! Piękne młodziutkie duszyczki, które dane mi jest wychowywać, aby każda z nich stała się maleńkim tabernakulum! Wesprzyjcie mnie waszymi modlitwami!

Stół szkolny

Podsłuchał *Stanisław Bushayija*, uczeń retoryki w Małym Seminarium w Kabgayi (Ruanda).

(Utwór młodego czarnego autora podajemy bez zmian.)

Było to w piękne letnie popołudnie. Dwunastu uczniów retoryki wróciło do klasy po zwykłej rekreacji. Nabiegali się, co się zmieści, namocowali do syta — oczywiście teraz nastąpiła reakcja. Trudny ustęp łaciński, gorąco i wreszcie cisza, panująca w klasie — starczyły, by po kilku minutach wysiłku ukołysać nieznacznie do snu kilku strudzonych chłopców...

Jeden zwłaszcza z uczniów nie mógł się jakoś oprzeć senności. Głowa opadała mu coraz niżej i wkrótce, idąc po linii najmniejszego oporu, spoczęła sobie spokojnie na płycie stołu, przy czym policzek zastąpił wygodną poduszkę.

Wtedy niespodzianie obudził się ów stół i do ucha leżącego na nim śpiocha wyszeptał następującą historję:

„Narodziłem się w dużym lesie o cztery mile stąd — otoczony mymi wielkimi braćmi, którzy już lata całe wznosili ku niebu swe dumne korony. W dzieciństwie może ze sto razy byłem w niebezpieczeństwie życia, dzień i noc groziły mi to pazury dzikich kotów, to łapy gruboskórnych, czy zęby przeżuwaczy. Rosłem wszakże pięknie, a gdy deszcz zrosił dobrze ziemię, a słońce popieściło moje delikatne listowie, czerpałem korzeniami obfite soki, które krążąc po moim pniu i po łodygach dodawały mi siły i odporności.

Młodość moja była okresem walki... nasamprzód trzeba było przebijać się przez gęste liście otaczających mnie braci, aby zdobyć nie-

odzowną cząstkę światła i ciepła. Następnie zaczęły ze mną wojować burze — giąłem się cały pod szalejącym wichrem, ale zaledwie przycichł, prostowałem się jeszcze dumniejszy i bardziej wyniosły.

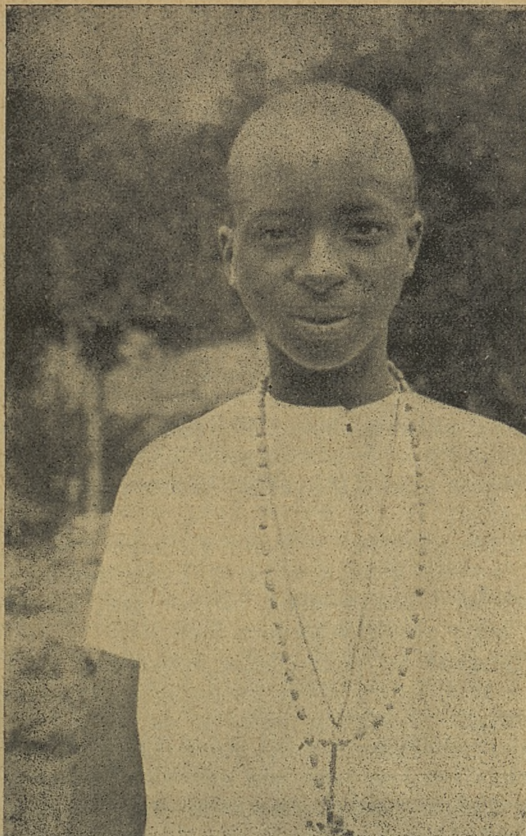
Nadszedł wiek męski. W gęstej, okazałej mojej koronie znajdowały gościnę ptaki niebieskie i słały tu sobie gniazdka. Gdy wykłute z jajeczek pisklęta ćwierkały wśród moich gałęzi, zdawało mi się, że i moja młodość powraca.

Z kolei zostałem ojcem.... Rozrzucałem dokoła nasienie, i niezadługo doczekałem się tego szczęścia, że otoczyła mnie cała gromada młodych drzewek, które były moją dumą i chlubą.

Pewnego dnia — och! tego dnia nie zapomnę nigdy — było to w lecie — rozległy się u stóp moich dźwięki, których dotąd jeszcze nie słyszałem: były to głosy ludzi... Na ich czele ujrzałem białego człowieka w białej szacie. Miał długą, siwą brodę. Towarzysze jego nieśli niewidziane dotąd przeze mnie narzędzia. Zaniepokojony, w przeczuciu, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo, zastanawiałem się, do czego to wszystko zmierza. Niestety! aż nazbyt rychło miałem się tego dowiedzieć!

Biały człowiek obejrzał mnie od stóp do głów, wymierzył mój pień i gestem niedopuszczającym oporu nakazał: Ściąć!

Jeden z pomocników wysunął się naprzód z siekierą w ręku. Siekiera zatoczyła półkole w powietrzu i spadła na moją korę, zadając mi szeroką ranę. Był to sygnał dla tamtych. Zbliżyli się z piłą — straszliwe jej zęby zaczęły mnie szarpać, czułem jak wgryzają się okrutnie aż w rdzeń mego pnia. Wszelki opór był daremny. Zachwiałem się i runąłem ciężko na ziemię...



Mały seminarzysta w Kabgayi (Ruanda).

Cały las zadrżał na odgłos mego upadku, a przerażone ptaszęta uleciały daleko.

Z okrzykiem triumfu zabrali się nielitościwi oprawcy do moich gałęzi. Poodcinano mi wszystkie. Ich okropne siekiery i piły przepołowiły mój pień, a gdy mi wreszcie dali pokój, widniały na ziemi dwie potężne gołe kłody. To było wszystko, co zostało z króla drzew!...

Ale niewiele czasu zostawiono mi do wytchnienia. Zjawiła się nowa gromada ludzi, jeszcze liczniejsza niż pierwsza. Zaczęły się nowe udręki. Dwadzieścia krzepkich rąk pochwyciło każdą kłodę i umieściło je na głowach tragarzy. I tak płacząc, opuściłem las.

Droga na wygnanie była długa. Wielokrotnie ci, co mnie nieśli, opadając z sił, zniewoleni byli położyć mnie na ziemię. Podczas tych odpoczynków służyłem im za siedzenie lub za wezgłowie... Nareszcie ukazał się cel tej przeprawy: było nim Kabgayi.

Po raz pierwszy w życiu ujrzałem domy z cegieł, kościół z dużą wieżą... Umieszczono mnie w wielkiej szopie obok innych pni, które tak jak mnie przydźwigano z lasu.

Nie dano mi długo leżeć spokojnie. Przyniesiono piłę, która znów rozpoczęła swe okrutne praktyki. Zostałem pocięty na deski. Teraz z kolei hebel zaczął mnie obrabiać swym ostrym zębem. Drżałem cały, ale gdy skończył swą robotę, byłem gładki i wypolerowany.

Wtedy poddano mnie dokładnym pomiarom i pocięto ponownie: z okazałego drzewa pozostały już tylko kawałki. Przyłożywszy jedne do drugich, wbito w drewno grube gwoździe i w ręku zręcznego cieśli przybrałem nową formę: nie

byłem już drzewem, nie byłem już pniem ani deską — stałem się stołem!...

Pewnego dnia zjawili się chłopcy z Małego Seminarium. Uwijali się ochoczo. Śmiejąc się, podnieśli mnie i z nimi razem podążyłem do ich zakładu.

Ustawiono mnie w retoryce... Zrozumiałem, że Bóg przeznaczył mnie na to, abym służył tym, którzy przysposabiali się do stanu kapłańskiego... i byłem zadowolony.

Od dziesięciu prawie lat jestem wiernym towarzyszem tych, którzy tę klasę przechodzą... jestem świadkiem ich wysiłków i ich powodzenia.

Mamże wam wyznać, że niekiedy ze smutkiem widywałem uczniów, którzy się źle zachowywali, rozmawiali podczas lekcji albo nie czynili tego, czego Bóg od nich wymagał?... Bolało mnie to. Ale obok tych utrapień zsyłał mi Bóg także pociechy. Ileż to razy danem mi było widzieć, jak uczniowie otrząsali się ze swego lenistwa i niedbalstwa i zatapiali się całkowicie w nauce... Przeszłego roku zwłaszcza aż zadrżałem z radości, dowiadując się, że pierwsi uczniowie, którzy się przy mnie w tej klasie uczyli, zostali sługami Bożymi... Podziękowałem wtedy Panu Bogu za zaszczyt, którego mi dał dostąpić i przestałem myśleć o moim lesie na zawsze!

Co do ciebie, mój mały przyjacielu, to jeżeli ci teraz opowiedziałem swoje dzieje, to na to, abyś ty z kolei otrząsnął się z twego lenistwa... Zbudź się i zabierz się sumiennie do pracy: czas stracony nie powraca!"

W tejże chwili nasz seminarzysta obudził się... Nauczka, jaką mu dał stół szkolny, poskut-

kowała; zabrał się z zapałem do nauki, a ile razy senność zaczęła go znów ogarniać, zawsze przypominał sobie opowiadanie stołu i powtarzał: „Otrząśnij się — czas stracony nie powraca!...”

Przyznajcie, mili czytelnicy, że młodym murzynom, wydobytym często przez misjonarzy z dzikiej afrykańskiej puszczy, nie brak ani inteligencji, skoro nauczą się wyrażać tak dobrze w obcym dla nich języku, ani też bujnej wyobraźni. Widzicie więc, że ofiary, jakie dobroczyńcy dla ich wyszkolenia ponoszą, nie idą bynajmniej na marne.

Pierwszy raz u żłóbka

O. *Bernard Zorn,* misjonarz w Transwalu.

W naszej nowej placówce w Nelspruit jest szkoła o dwóch klasach, które są oddzielone od siebie ruchomym przepierzeniem. Gdy się tam ma odbyć nabożeństwo, usuwa się ową ścianę i kaplica gotowa. W głębi jest ołtarz przybrany kwiatami. Na Boże Narodzenie ustawiono z boku na stoliku żłóbek. Leżące na sianku Dzieciątko wyciągało maleńkie rączęta do murzyniątek, które, ku memu zdumieniu, bardzo dobrze rozumiały wszystko, co im o tym cudownym Narodzeniu opowiedziałem. Maryi, Matce Bożego Dzieciątka i Matce nas wszystkich, okazywały te czarne maleństwa wielką miłość. Z uwagą przypatrywały się owieczkom, otaczającym i jakoby adorującym Dzieciątko.

„Gdybym ja tam była wtedy w Betlejem”, odezwała się jedna z dziewczynek, „byłabym też adorowała Jezuska, który tak mile i święcie na nas patrzy i byłabym poprosiła, żeby mnie zaraz ochrzcił.”



Czarni „milusińscy" przy nauce katechizmu.

„Ale wpierw", odparła inna, trzeba nauczyć się katechizmu i być bardzo grzeczną..."

„Prawda", rzekła pierwsza, „ale my już przecie jesteśmy grzeczne, a Bóg jest potężny. On może to, czego inni nie potrafią. On może wszystko uczynić, co chce."

Przypomniałem też potem moim małym uczniom o dobroczyńcach ich z zamorza i zachęciłem, aby wdzięczność swą dla nich okazywali modlitwą. Obiecali mi to wszyscy bardzo ochoczo, poklękli nawet zaraz przed żłóbkiem i odmówili pięć „Ojcze nasz" w ich intencji.

Na intencję prenumeratorów i dobroczyńców odprawiają Biskupi misyjni i Misjonarze afrykańscy około 500 mszy św. rocznie.

Łamigłówka sylabowa

Z poniższych sylab utworzyć 9 imion żeńskich, których pierwsze litery dadzą jeszcze jedno imię żeńskie :

E - a - da - ta - ta - to - do - ro - na - na - na - na - ma - wi - ni - ria - zia - lia - lud - tru - an - wa - ger - an - ka - sta.

Łamigłówka sylabowa

Z poniższych sylab utworzyć 6 imion męskich, których pierwsze litery utworzyłyby jeszcze jedno imie męskie :

Na - sław - do - ryst - mi - wa - dam - tus - nik - dy - man - e - a - wła - do - ro.

ROZWIĄZANIA z Nr. 12 1936:

oko
sos
Otto
Anna
potop
zaraz

Dar, **a**rka, **h**ale, **o**lej, **m**ól, **E**lba, **J**awa

Dahomej

Kartofle, buraki, marchew.

ODPUST ZUPEŁNY,

którego pod zwykłymi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki":

6 stycznia, w uroczystość św. Trzech Króli.

Warunki : Godne przyjęcie św. Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzenie kościoła, modlitwa o rozkrzewienie wiary i na intencję Ojca św.

Redaktor odpowiedzialny Maria Kopińska, Kraków.
Nakładem i drukiem Sodalicji św. Piotra Klawera w Krośnie.



Pójdź

za mną!

„Oby Bóg wzbudził powołania misyjne i oby te, które wzbudza, szlachetnym „niech mi się stanie" odpowiedziały na to wzniosłe i uszczęśliwiające wołanie. Niechaj się znajdą Polki, owiane duchem misyjnym, duchem wiary i zaparcia się siebie. Pierwszym warunkiem, aby znaleźć przyjęcie w Sodalicji, jest prawdziwe powołanie z pobudek nadprzyrodzonych.

Niechaj zatem w ślady Marii Teresy Ledóchowskiej wstępują Polki wszystkich stanów, a zwłaszcza z wyższym wykształceniem. Niechaj idą z intencją czystą i świętą, z pragnieniem rozszerzenia Królestwa Bożego na ziemi, z pragnieniem złożenia z siebie ofiary całopalnej na większą chwałę Boga i dla zbawienia dusz!"

(„Dom Sodalicji w Krośnie",
przez Ks. Prałata Stanisława Szpetnara.)



Na wyścigi

zyskujcie nowych prenumeratorów „Murzynkowi”, a nie pożałujecie tego!

Każdy, kto pozyska *1—2 nowych prenumeratorów* otrzyma w nagrodę piękną sztuczkę teatralną *„Gołąbek Maryni”.*

Za pozyskanie *3—5 nowych prenumeratorów* prześlemy książeczkę p. t. „Bachita”, opowiadającą, jak to Opatrzność Boża zaprowadziła małą pogańską murzynkę aż do furty klasztornej.

6—9 nowych prenumeratorów zdobytych zapewni każdemu budujący *Życiorys Służebnicy Bożej Marii Teresy Ledóchowskiej.*

Wreszcie tych, co aż *10 nowych prenumeratorów* pozyskać potrafili, obdarzy „Murzynek” pięknym obrazem z *błogosławieństwem Ojca św. Piusa XI* na godzinę śmierci..

Warto się więc trochę potrudzić —

Dalejże na wyścigi!